

Przysłowie mówi: W czasie wojny milczą muzy. Historia zna jednak przykłady zaprzeczające tej prawdzie. Oto w samym środku drugiej wojny światowej, gdy nad Oką formowała się I Dywizja Wojska Polskiego, narodził się teatr niezwykle, który po wojnie zapoczątkował cały bujny ruch sceniczny.

Czy twórcy i wykonawcy mieli wtedy poczucie misji dziejowej, głównych ról, jakie przypadły im w udziale? Jak po latach widzi tamte czasy znakomita aktorka Ryszarda Hanin, dla której było to pierwszym zetknięciem się ze sceną, decydującym o wyborze drogi życiowej? Oddajmy głos tej znakomitej aktorce.

Z YJAC dnem codziennym, nie ma się świadomości uczestniczenia w historii. Wszystko wydaje się naturalne. Samo założenie teatru nie było aktem spontanicznym. Rzadko przypisuje się zasługi administracji. Faktem jednak jest, że nasz teatr został powołany do istnienia rozkazem wojskowym. Uznano po prostu, że jest to sprawa ważna, potrzebna żołnierzom-tulaczom, przybywającym z różnych stron do Dywizji Kościuszkowskiej. Organizację powierzono Leonowi Pasternakowi, który był raczej tym rozkazem zaskoczony. Nie miał żadnych doświadczeń w tej materii. Liczył na wojskową tylko działalność. Rozkaz w wojsku jest jednak rozkazem. W miarę sił zaczął organizować zespół – szło mu to dość trudno.

Wyłuskiwał młode dziewczęta i chłopców, nadających się, jego zdaniem, na scenę. Zbyt wysokich kryteriów, co zrozumiale, nie stosował. Wybranych przenośli rozkazem do jednostki teatralnej. Ja zostałam przeniesiona z batalionu fizylierów. Wszyscy mieliśmy podobne odczucia jak Leon Pasternak. Przyszliśmy do wojska z myślą, że będziemy walczyć z bronią w rękę. A tu każą nam iść w komedianty.

Już po pierwszym spektaklu mogliśmy się przekonać, że ten teatr jest nieodzowny. Zetknęliśmy się z czystym słowem polskim w formie wierszy, pieśni, wywarło ogromne wrażenie na żołnierzach. Stał się nam potrzebny jak chleb codzienny. Nie spodziewaliśmy się, że piosenki, pi-

sane na doraźny użytek niejako, jak „Płynię Oka” czy „Marsz I Korpusu”, staną się hymnami. Zasmakowaliśmy w tym wszystkim jeszcze bardziej, gdy zjawił się w naszym teatrze wspaniały człowiek, aktor, reżyser i organizator Władysław Kras-

nowiecki. Z wielką chęcią przekazał mi pałeczkę Leon Pasternak, który stał się jednym z trzech naszych „nadwornych” autorów, obok Adama Ważyka i Lucjana Szenwalda.

W miarę działań wojennych nasze granie było obsługiwaniem ludzi walczących poczostrzałem, pod nalołami lotniczymi. Czasem docieraliśmy do jednostki na katuszach. Nierzadko detonacje przerywały nasze spektakle. Gra-

liśmy w szpitalach i lazaretach. Teatr to było nasze żołnierskie zadanie, spełniane w warunkach bojowych, polowych. Dawaliśmy chwilę oddechu, możliwość oderwania się od głównej nurtującej myśli, jaką była wojna, higienę psychiczną. Niepowtarzalność naszego teatryku determinowała czas, warunki, okoliczności.

Nigdy nie zapomnę jednej ze scen, bodaj na Smoleńszczyźnie. Z odległego lazaretu otrzymaliśmy rozkaz, aby zjawiła się konkretna grupka aktorów z konkretnym programem. Był to prawie koncert życzeń. Szczególnie chcieli usłyszeć to, co niedawno oglądali, dwaj oślepi żołnierze. Można sobie wyobrazić w jakim nastroju, z jak zaciekniętymi gardłami przedstawialiśmy fragmen-

M U Z Y

czasu wojny

ty z „Balu u saperów” Pasternaka i „Sukmanę kościuszkowską” Ważyka. Trudno to nawet nazwać występem.

Głębsze i dojrzsze refleksje zaczęły mnie nadochodzić przy pierwszych zetknięciach z publicznością cywilną w Chełmie, Lublinie. Poraziła nas waga tego, co robiliśmy w odczuciu tych ludzi, fakt, że to, co przynosiliśmy, było czymś tak ważnym, przejmującym w odbiorze.

Po tym granie dla swoich, dla żołnierzy, a więc prawie rodzinnym, gdy weszliśmy na ziemię polską, musieliśmy stanąć przed tymi, którzy nas nie znali, nic o nas nie wiedzieli. Byliśmy nierzadziej pierwszymi żołnierzami, z którymi się zetknęli. I nagle, gdy wybuchł strumień polskiego słowa, pieśni, wywarła się aura jakiegoś wielkiego święta, atmosfera o takim natężeniu emocjonalnym, jakie nie mieści się w pojęciu normalnego spektaklu.

Przejeżdżamy do Chełma. Gramy nasze skromne „Śluby panińskie”, a tu ludzie płaczą na tej komedii od pierwszego słowa. Polscy żołnierze, polscy aktorzy, pierwsze chwile wolności i ten Fredro, zakazane słowo poetyckie, którego przedtem nie wolno było słuchać.

W miarę upływu lat, w warunkach pokojowych, sprawy wracały do swej właściwej rangi. Jeśli chodzi o mnie, ten wojskowy teatryk sprawił, że pozostałam w teatrze. Władysław Krasnowiecki prowadził mnie za rękę, przygotowywał do egzaminu, miał pieczę nad moimi początkami, a potem był dyrektorem teatru, w którym grałam, rektorem w szkole, w której wykładałam.

Teraz, pracując w zawodzie aktorskim, staram się dać ludziom odpoczynek, uśmiech, sposobność do przemyśleń. Zdaje sobie jednak sprawę z tego, że nie są to tak wielkie odczucia, z jakimi spotykaliśmy się w tamtych wyjątkowych czasach. Jest to etap życia zamknięty. Chociaż... stale jeszcze spotykam wojskowych w różnych rangach i cywilów, którzy przypominają mi ślady tamtych czasów. Zapraszają mnie Platerówki – z batalionu kobiecego fizylierów. Dowiaduję się, ile ten teatryk dawał im radości i wzruszeń.

Przypominam sobie czasem scenkę z „Ławki w Łazienkach” Ważyka, jej fragment „futurologiczny” z roku 2000. Wypytywałam, jako wnuczka, weterana Dywizji Kościuszkowskiej (grał go Władysław Krasnowiecki) o historię tej Dywizji. Teraz mnie pytają.

Notowała: BARBARA HENKEL